

CLAUDE BACKVIS (Bruksela)

Wymóg jednomyślności a „wola ogółu”

W roku 1791 ukazało się w Anglii dzieło, którego autor, zastanawiając się nad tym, w jakiej mierze decyzja podjęta większością głosów może być uważana za wyraz „woli ogółu”, pisał: „Sprawy, które są dla nas zwyczajne, zastanawiają nas tak mało, że podejmowanie decyzji większością głosów uważamy za zasadę, wynikającą jakoby z naszej pierwotnej natury. Ale przecież ta konstrukcja całości, która mieści się jedynie w jej części, stanowi jedną z najbardziej rażących fikcji prawa pozytywnego, jaką można było stworzyć. Natura poza społeczeństwem ludzkim nie daje żadnych podobnych przykładów, a ludzie nawet wdrożeni do porządku społecznego — zasadzie tej nie mogą poddać się bez dłuższej tresury [...]. Tam gdzie na zgromadzeniu, w którego obradach uczestniczą wszyscy jego członkowie, uchwała podejmowana jest przez zwycięską większość, tam pozostała mniejszość rozjątrzona przebiegiem obrad opuszcza je z poczuciem doznanej klęski, jaką stanowi dla niej ich konkluzja. Tam, gdzie, jak to się zdarza, obie wole są, liczebnie prawie równe¹, a mniejsza liczba może reprezentować większą siłę, względnie gdzie racja może znajdować się w całości po jednej stronie, podczas gdy z drugiej pozostają jedynie gwałtowne ambicje, podobny sposób podejmowania decyzji mógł powstać jedynie w wyniku szczególnej i osobliwej konwencji. Sposób ten następnie zakorzenił się przez długotrwałe posłuszeństwo, przez szczególną dyscyplinę społeczną oraz przez oddziaływanie cieszącej się ustalonym autorytetem silnej ręki, a wszystko to prowadziło do ugruntowania się na drodze swoistej jedynie interpretacji osobliwego pojęcia 'woli ogólnej'². Określenie zaś organu powołanego do wyrażania myśli całego ciała społecznego, stanowi

¹ Czy należy przypomnieć o tym, że w czasie, kiedy Burke wysunął ten argument, sprawa należała do spekulacji czysto teoretycznych. Dziś natomiast nabiera szczególnego znaczenia, bowiem w krajach, w których rozwój życia politycznego uzależniony jest od większości parlamentarnej, mnożą się sytuacje, gdzie większość, która rządzi i decyduje, obejmuje 51% posłów.

² Taki jest sens tekstu angielskiego: *this sort of constructive will*.

przedmiot różnych przepisów pozytywnych — toteż liczne zgromadzenia (stanowe) domagały się dla prawomocności swych aktów ilości głosów o wiele przewyższającej zwykłą większość [...]. Prawa w wielu krajach żądają dla wydania wyroku skazującego więcej niż zwykłej większości głosów, natomiast dla wyroku uwalniającego liczby głosów niższej od połowy. W naszej procedurze sądowej postulujemy jednomyślność, zarówno dla skazania, jak dla zwolnienia. [...]. Aż do dnia wczorajszego w polskiej konstytucji jednomyślność była potrzebna jako warunek ważności jakiegokolwiek aktu wydanego przez wielkie zgromadzenie narodowe, to znaczy przez Sejm”³.

Prawda, że tekst powyższy zawarty jest w piśmie polemicznym, które można by uważać za mało znaczącą wypowiedź polemiczną, wywołaną względami przelotnej stronnicej rozgrywki politycznej. Podobnie potraktować by można tyle pism wydawanych, z dnia na dzień, w dawnej Polsce w związku z aktualnymi problemami politycznymi, a przecież w nich właśnie odnajdujemy, w niespodziewanych czasach tekstach, najbardziej cenne myśli polityczne wypracowane przez to społeczeństwo. Sądzę więc, że niedocenywanie omawianego tu tekstu byłoby wielce niewłaściwe. Po pierwsze ze względu na jego temat: jest bowiem rzeczą oczywistą, że został tu postawiony z całą wyrazistością problem, który mimo że przez niektórych może być uważany za czysto idealny, to przecież w oczach wszystkich jest zawsze problemem o znaczeniu kapitalnym dla pojęcia demokracji politycznej. Następnie, ze względu na osobę autora tekstu i na okoliczność jego powstania. Edmund Burke (1729 - 1797) był na pewno szczególnie wybitnym członkiem parlamentu angielskiego, który jako jedyny Parlament w ramach rozległych monarchii, obok dawnego polskiego Sejmu zdołał utrzymać autorytet oraz ciągłość — w stosunku do władzy monarszej. Opinia Burke’a w tej materii ma tym większą wagę, że spośród świeckich społeczeństw Europy — Anglia pierwsza odkryła i umiała stosować system większościowy, jak to wyraźnie i z uznaniem specjalnie podkreślił W. Konopczyński⁴.

Można ponadto wskazać tu i na to, że Burke rzeczywiście interesował się bliżej polskimi instytucjami — i to nie tylko w sposób doktrynalny! Jak wiadomo, okoliczność, że Konstytucja 3 maja zniosła zasadę jednomyślności, nie powstrzymała go przed głoszeniem wielkiej dla niej pochwały. Wreszcie — co może najważniejsze, skoro książka, z której cytowaliśmy powyższy fragment, stanowi owoc chwilowego tarcia w łonie partii whigów, sporu, który oddalił Burke’a jako wybitnego whiga od jego towarzyszy partyjnych, to właśnie ta okoliczność, biorąc ponadto pod uwagę poziom tej polemiki, nadawała jej szczerść i trwalsze znaczenie. Burke dokonał po prostu przeciwstawienia historycznej i empi-

³ E. Burke, *An Appeal from the New to the Old Whigs*. Cytuję według edycji londyńskiej z roku 1910, t. III, s. 82 i n.

⁴ W. Konopczyński, *Liberum veto*, Kraków 1918, s. 47 - 49.

rycznej koncepcji wolności, strukturom czysto racjonalistycznym i nie-organicznym parlamentaryzmu kontynentalnego, kształtującym się właśnie pod wpływami argumentacji i uchwał I francuskiej Konstytuanty⁵. Mamy więc wszelki tytuł, by tekstu tego nie odrzucać jako dziwaczego, potrzebą chwili wywołanego wysiłku; przeciwnie, z uzasadnieniem załączamy go do aktów dotąd jeszcze nie zamkniętej sprawy — jak to oczywiście rozumiem — z zakresu teoretycznej myśli politycznej.

Sprawa ta została w pięknej książce Władysława Konopczyńskiego wyjaśniona — jak sądził jej autor — w sposób ostateczny. Rzuca on w istocie dużo światła zarówno na genezę, jak i na zasadę jednomyślności oraz regułę większości. Przyznając autorowi wysoki autorytet jako historykowi i wielkie zdolności prowadzenia polemiki naukowej, nie sądzę jednak, by wygrał w całości rozgrywaną partię. Ograniczę się tu do zwrócenia uwagi na cztery punkty, które — jak myślę — osłabiają poważnie wartości jego rozumowania.

1. W odrębnym ustępie wyliczył Konopczyński te czynniki, które w życiu społecznym sprzyjały pojawieniu się techniki większościowej⁶. Ze względu na przyjętą przez siebie *a priori*, z góry określoną perspektywę, czynniki te uznał za korzystne również z samej natury rzeczy. Kłopotliwe jest tu to, że nie miała część tych właśnie wyliczonych przez W. Konopczyńskiego czynników sprzyjała również — i to w wyższej jeszcze mierze — wprowadzeniu władzy despotycznej. Nie jest to tylko przypuszczenie: wystarczy spojrzeć na to, czym w reszcie Europy — poza Anglią — stały się z czasem zgromadzenia stanowe — czy to na skutek tego, że po prostu przestano je zwoływać, czy to ze względu na to, że zostały ograniczone do biernej roli figuranta. Te same więc warunki „idealne”, które miały się przyczynić do wyłonienia się Sejmu „zdrowego” wreszcie i „rozsądnego”, a które, z drugiej strony, doprowadziły w olbrzymiej większości do zduszenia lub wykastrowania zgromadzeń stanowych — nie mogą nie wywołać pewnego niepokoju.

2. Konopczyński zainteresowany głównie przeciwstawnością dwóch biegunowych rozwiązań⁷, jednomyślności i rządów większości miesza ze sobą stale dwa diametralnie różne typy jednomyślności. Są nimi: po pierwsze, jednomyślność przymuszona w wyniku przymusu fizycznego lub też moralnego, który występuje w razie istnienia konformizmu narzucającego się w tak wielkim stopniu, że staje się wysoce nieprawdopodobną możliwością tego, by jakaś drobna grupa wpadła na pomysł wyłamania się spod opinii ogółu; po drugie, jednomyślność z przekonania,

⁵ Stąd znaczenie zdecydowanie ujemne, jakie pod jego piórem mają terminy „prawo pozytywne, dyspozycje pozytywne”. Kto wczytywał się w teksty staropolskie, znajduje się tutaj na terenie dobrze znanym.

⁶ W. Konopczyński, o.c., s. 29 - 35.

⁷ Ciekawe, że pisząc w ten sposób, Konopczyński stale kieruje się sugestiami wynikającymi z przyjętego przez siebie założenia, że decyzja większościowa jest słuszna.

osiągnięta w drodze dyskusji czy kompromisu. Z tym właśnie drugim pojęciem wiązała się praktyka dawnego sejmiku polskiego. Przyznajmy jednak, że nie zamykamy oczu na związek genetyczny między omawianymi wariantami — aczkolwiek nie wydaje się by związek ten odegrał rolę właściwej sprężyny w rozwoju, który doprowadził Polaków w XVI w. do uznawania za nieważne uchwały, przeciw którym wypowiadała się choćby niewiele znacząca mniejszość. Pójdę dalej jeszcze na drodze ustępstw: wiadomo że zarówno poszczególne jednostki, jak i grupy ludzkie w ciężkich okolicznościach i to raczej wyjątkowych zdolne są do poddawania się w swym postępowaniu i w swych decyzjach prymitywnym impulsom, które dawno już uległy zatarciu pod wpływem narastających warstw nabywanej kultury. Przyjąć więc można *a fortiori*, że nastąpić to może i w społeczeństwie w okresach jego kryzysu czy upadku. Skoro znajdziemy się wobec obrazka takiego, jak opisany przez Niemcewicza w świetnym wierszu w *Powrocie Posła*: „powiedział)nie pozwalam(i uciekł na Pragę”; albo na przykład wobec sceny z „arcyserwisu” w Panu Tadeuszu⁸, to „sarmaci” z roku 1750 nie wydadzą się nam bardzo różni od dawnych Wioletów, o zwyczajach których z sarkazmem pisał Thietmar: *Dyskutując na wiecu nad ważnymi sprawami dochodzą do jednomyślnej zgody. Kiedy jednak ktoś z uczestników wiecu uchwale ich się sprzeciwi, zostaje obity kijami; gdyby zaś nadal publicznie się sprzeciwiał, wówczas złupiony albo spalony zostaje cały jego dobytek, chyba, że w ich obecności zapłaci karę pieniężną — odpowiadającą jego stanowisku*⁹.

Na powyższe momenty genetyczne należało zwrócić uwagę. Niemniej jednak wątpliwości nasuwa tu metoda zastosowana w rozważaniach na temat stosunku większości do mniejszości, gdzie do jednego worka włożono zarówno postępowanie zmierzające do nieumiejętności, jak i przeciwnie, postępowanie, które świadczy właśnie nie tylko o liczeniu się z mniejszością ale i o dążeniu do jej przekonania i skłonienia do zmiany pierwotnie zajętego stanowiska a nawet i do ustępstw, względnie też do zaniechania opozycji w postaci zastosowania przez nią niebezpiecznego, do jej dyspozycji stojącego środka. Zachowanie takie było świadectwem wysokiego wyrobienia obywatelskiego, równie zaszczytnym jak uzyskanie sukcesu w głosowaniu. W efekcie, jak na to słusznie wskazał Burke, osłodzeniu uległa gorycz poniesionej porażki — skoro dyskusja ostatecznie doprowadziła do uzgodnienia stanowiska wszystkich jej uczestników, a oba obozy, które starły się w dyskusji, w jej fazie końcowej zgodnie podejmowały decyzje — a w tym właśnie widzieć można przejaw „woli ogółu”.

⁸ *Pan Tadeusz*, Księga XII, w. 96 - 104.

⁹ Por. tekst łaciński: *Monumenta Poloniae Historica*, t. I, s. 279.

Okazuje się, że tą drogą niepostrzeżenie przeszliśmy do innego zagadnienia, mianowicie do problemu szczególnych wartości dla podniesienia wyrobienia obywatelskiego, jakie tkwiły w prowadzeniu obrad mających doprowadzić do jednomyślnej decyzji wartości, których Konopczyński zaślepiony swym potępieniem *liberum veto* nie dostrzegał.

3. Jest rzeczą naturalną, a rzeczywistość historyczna to potwierdza, że w toku dyskusji prowadzącej do uzgodnienia jednomyślności będą się wyłaniały różne rozwiązania znajdujące się między dwoma rozwiązaniami przeciwnymi, które wzięto pod uwagę na samym początku obrad. Kiedy na przykład chodzi o obsadzenie jakiegoś stanowiska, skoro ujawni się, że żaden z obu konkurentów na to stanowisko nie uzyska poparcia jednego lub drugiego stronnictwa, wyszukuje się trzeciego kandydata, który aczkolwiek mniej popularny w każdym ze stronnictw, może przecież uzyskać u obu poparcie. Jeśli chodzi o podejmowanie decyzji w sprawach państwowych albo społecznych, istnieje zawsze szeroka skala rozwiązań pośrednich, które bynajmniej nie muszą leżeć w samej połowie drogi między obu punktami wyjścia. Większość może pójść na częściowe ustępstwa nawet w sprawach istotnych (kompromis), może obiecać bardziej lub mniej pośredni sposób, że w razie zapadnięcia decyzji po jej myśli, będzie w toku jej wykonywania szczególnie uwzględniała określone sprawy, może osłabić opozycję przez ustępstwa w sformułowaniach czy procedurze, może skłonić mniejszość do przyjęcia, choćby biernego, uchwały, której dotąd się sprzeciwiała przez równoczesne przeprowadzenie innej uchwały specjalnie przez mniejszość popieranej (*iunctim*). Są to więc pomosty, które pozwalają mniejszości działać bez uszczerbku dla swej ambicji „z zachowaniem twarzy”.

Interesuje mnie w tym szczególnie nie tylko troska o uzgodnienie w długiej dyskusji stanowisk między obywatelami, ani też dążenie do ujawnienia „woli ogółu”, o czym wyżej była mowa, co raczej okoliczność, że właśnie omawiana technika obrad stanowi czynnik pobudzający do szukania nowych rozwiązań i do wynajdywania na tej drodze także i nowych całkiem aspektów rozważanego problemu. Jeżeli czytelnik chciałby tu zdeklarować swój sceptyzm, to zaproponowałbym mu zastanowienie się nad losami Reformacji w Polsce, która wiążąc się w tym kraju ściśle z tendencjami występującymi w Sejmie, od początku rozwijała się pod znakiem nadziei dojścia do kompromisu wypracowanego w dyskusji między wyznaniem chrześcijańskim, a która doprowadziła do wyłonienia się wielkiej liczby problemów doktrynalnych.

Jest również rzeczą oczywistą, że parlament większościowy, którego działanie opiera się na głosowaniu arytmetycznym, działa w obliczu jednej tylko sztywnej alternatywy między dwoma tylko a nie więcej stanowiskami. Głosowanie natomiast trzykierunkowe prowadzi do zamętu. Łatwo stwierdzić, że sprowadzenie do jednej tylko alternatywy

nieograniczonych w praktyce możliwości rozumu i wyobraźni ludzkiej, prowadzi w stosunkach ludzkich, żeby posłużyć się wyrażeniem Burke'a, do „rażącej fikcji”. Staje się ona bardziej rażąca w miarę wzbogacania się kultury politycznej społeczności ludzkich, kiedy to w kształtowaniu się poglądów znaczenie istotne, w przeciwieństwie do prawd naukowych, mają nie tyle odpowiedzi „tak” albo „nie”, co wyjaśnienia „w jakiej mierze” i „jak”.

4. W. Konopczyński zarzucił polskiemu parlamentaryzmowi to, że zapewniał on pierwszeństwo dyskusji ze szkodą dla samego podejmowania decyzji. Przyznaje, że osobiście widziałbym w tym z punktu widzenia wychowania obywatelskiego raczej cechę dodatnią. Nic nie mogło lepiej służyć postępowi kultury politycznej, jak właśnie owe szerokie dyskusje, w których roztrząsano wyczerpująco dodatnie i ujemne strony danej sprawy czy danego wniosku.

Pragnę położyć nacisk na sprawę, co do której Konopczyński daleki był od prawdy. Powinien był bowiem uznać, że autentyczna dyskusja prowadzona być może jedynie w sejmie jednomyślnym. Napotykamy tu na szczególnie uderzający paradoks. Wiemy już dziś dobrze, że jeżeli w XVI w. stopniowo przyjmowano wymóg jednomyślności *nemime contradicente*, to czyniono tak raczej z tego powodu, że poseł polski uważał się za „ambasadora” swych zleceniodawców, aniżeli z powodu jakiegoś atawizmu słowiańskiego czy ogólnoludzkiego. Skrajnie logiczną, ale również i absurdalną konsekwencją takiej postawy byłoby to, że sesja sejmowa ograniczałaby się do funkcji sekretariatu, mianowicie do zebrania mandatów imperatywnych z poszczególnych sejmików, uznania za przyjęte identycznych wniosków pochodzących ze wszystkich regionów (o ile to mogłoby się w ogóle zdarzyć), wreszcie i do odrzucenia wniosków, przeciw którym wypowiedziały się całkiem inaczej. Król zwracał się do Sejmu, a posłowie w swych naradach przemawiali do swych kolegów bądź to celem przekonania wahających się albo też tych, którzy w odniesieniu do danej sprawy nie posiadali instrukcji, bądź to celem przełamania oporu tych, którzy powoływali się na odmienne zalecenia, otrzymane na sejmikach od swych „braci”. Diariusze sejmowe zawierają opisy sejmów mało doskonałe, jako że rzadko omawiają toczące się w izbie poselskiej obrady w czasie przygotowania rezolucji na plenum, jednak dość plastycznie informują o różnych i o różnej wartości obiektywnej metodach postępowania, do których się uciekano — zawsze jednak do rzeczywistego przekonania oponentów.

Parlament większościowy wprowadza dyskusję — tym lepiej! — lecz miewamy tu do czynienia z konstrukcją pozorną. Z okoliczności, że sprawą najważniejszą jest tu pozyskanie, względnie utrzymanie większości, wypłynęła konieczność organizowania stronnictw, partii; te zaś wypełniają należycie swoją rolę kiedy podlegają dyscyplinie, kiedy należący do partii solidaryzuje się automatycznie z decyzją podjętą przez

jej kierownictwo¹⁰. Co więcej, bieżące obserwacje wskazują na to, że parlament większościowy może sprawnie funkcjonować jedynie pod tym warunkiem. Tam gdzie częściej posłowie należący do jednej partii nie głosują solidarnie, tam mnożą się kryzysy ministerialne. Polityk angielski, który powiedział, że najpiękniejsze przemówienie mogłoby wprowadzić zachwiać jego przekonania, nigdy jednak nie zdołałoby go doprowadzić do zmiany jego sposobu głosowania — ujął w sposób cyniczny oczywistość wynikającą zarówno z życiowego doświadczenia, jak z logicznej konsekwencji systemu. W rzeczywistości minister w brytyjskim parlamencie udaje, że zwraca się do posłów z opozycji, ci znowu udają, że zwracają się do rządu i do swych kolegów reprezentujących większość — i to wszystko z pełną świadomością tego, że całe bogactwo ich argumentacji nie ma żadnego wpływu na przebieg głosowania, które ma nastąpić. Ostatecznie przemówienia wygłasza się dla gazet, które je przedrukują, lub streszczą dla przekonywania tej nielicznej części wyborców, która w wyborach waha się między obu partiami (*electorat flottant*).

Okazuje się więc, że wywody W. Konopczyńskiego, mimo obfitych materiałów i gruntownej argumentacji, nie są przekonywujące. Pozostaje jednak jeden jeszcze argument „grubego kalibru”: „Przecież polski system jednomyślności w pewnym momencie zaczął bardzo źle funkcjonować”. Sądzę, że dzisiaj już nie ma nikogo, który by uważał, że sposób obradowania sejmu polskiego był jedyną lub choćby tylko główną przyczyną upadku Polski. Chyba też nikt już nie sądzi, jakoby proces, który poważnie zdążył naruszyć podstawy gospodarcze i kulturalne społeczeństwa polskiego, mógł zostać odwrócony przez proste przeprowadzenie zmian w dziedzinie techniki politycznej. Nie można jednak zapominać, że z drugiej strony, to co na początku było skutkiem może z kolei przekształcić się w przyczynę sprawczą. Po ukazaniu się książki Konarskiego, wobec widowiska, jakie dawało liberum veto, reformatorzy w dobie stanisławowskiej po stokroć słusznie zarzucali zbrodnicze zaślepienie tym, którzy do upadłego bronili jednomyślności¹¹. Stanowisko ich było tym bardziej naturalne, że operowali pojęciami z tej epoki, pisali w perspektywie tego co określa się mianem „pragmatyzmu oświeco-

¹⁰ Termin obrazowy „the whip”, który określa parlamentarnego przywódcę jednej partii, jest wielce charakterystyczny. Deputowani — konie mają biec tym samym chodem i w tym samym kierunku; w przeciwnym razie uderzenie batem przywoła ich do posłuszeństwa.

¹¹ A przecież jak wiadomo, Hugo Kołłątaj przewidywał wprowadzenie, zależnie od rodzaju uchwały, całej gamy różnych „większości kwalifikowanych” (to znaczy przewyższających połowę plus 1). Jeżeli się z tym zestawia wyjątkowo łatwe warunki dla przeprowadzenia rewizji konstytucji co 25 lat, zrozumie się, do jakiego stopnia reformatorzy w XVIII w., po przejściu przez nieuchronne stadium odwoływania się do wzorów zagranicznych, zwłaszcza w czasie Sejmu Czteroletniego, myśleli i działali w myśl tego co określiłem jako „dominujące prądy myśli politycznej XVI w.”

nego". Mieli też rację absolutną, aczkolwiek nie mieli jej w kategoriach relatywizmu historycznego. Co się zaś tyczy ich przeciwników, to występowały u nich jaskrawe objawy skostnienia intelektualnego, jakie stopniowo opanowywało „sarmackie” społeczeństwo.

Z tego też powodu w mej analizie sięgam do dwóch przykładów z przełomu XVI i XVII w. Nie brak świadectw wskazujących na to, że już w czasie tym w psychice szlachty utrwałać zaczęła się wrogość wobec jakichkolwiek zmian. Ruch reform uległ bowiem załamaniu — i to na długo. Z drugiej jednak strony — dość liczne pisma pochodzące nie tylko od luminarzy myśli i działania, głoszą potrzebę reform, i to często reform odważnie przemyślanych, czasem nawet sięgających daleko, dalej może jak reformy okresu poprzedniego. Społeczeństwo nękanie jest poczuciem ogólnego niezadowolenia i domyśla się, że sprawy w wielu dziedzinach przybierają obrót niepomysłny. Krytyka oraz projekty zapowiadają, i to nieraz z uderzającą ostrością, koncepcje, które znajdują posłuch i realizację dopiero po upływie półtora wieku. Jest to doba, w której istotne myśli szerzonej doktryny politycznej mogły jeszcze być przyjęte z poważnymi szansami powodzenia.

Jak wiadomo, wśród jej twórców wyróżnia się wyrazista sylwetka Krzysztofa Warszawickiego. Ze względu na kształt jego informacji, jak i na swoisty sposób jego argumentowania posuwano się do tego, by dopatrywać się w nim prekursora — przyznać trzeba że stojącego na bardzo wysokim poziomie — współczesnych dziennikarzy. Stosuje on w istocie metodę osobliwą, która polega na tym, że wykładając poszczególne sprawy przedstawia je na opak, w sposób prowokujący i oczywiście niezgodny z polską rzeczywistością, tak jakoby proponowane przez niego rozwiązania były już w Polsce stosowane. Przeprowadza swoje wywody z fałszywymi pozorami akademickiego umiaru, trzeba by być jednak bardzo nieuważnym czytelnikiem, by nie dostrzec, że przy każdej sposobności umieszcza pełne uszczypliwej ironii sformułowania pod adresem swych rodaków. I tak w *De Legato et Legatione* (1595) staje na nierealnym w Polsce gruncie tajnej dyplomacji i jej perspektyw, gdzie ambasador — rezydent ma zdawać sprawozdanie wyłącznie swemu królowi, nie mając żeby się tak wyrazić, innych trosk, jak chęci podobańia się królowi. Przy okazji jednak bije w rzeczywistych ambasadorów Rzeczypospolitej, jako źle przygotowanych do pełnienia swych okresowych funkcji, jako zniechęcających do siebie obcych suwerenów niewczesnym zbytkiem, jako porastających w długi i ostatecznie niebezpiecznych dla rządów, do których zostali wysłani na skutek nierozważnego wychwalania polskiego ustroju wolnościowego.

Podobnie, w *De optimo statu libertatis* (1598) przedstawia wielkie korzyści, jakie królowi może dać uzyskanie większości w obu izbach. Rada taka ma oczywiście sens jedynie w odniesieniu do parlamentu większościowego. Warszawicki zaś nie byłby sobą, gdyby nie wyluszczył

z namaszczeniem, jakimi sposobami król może do tej większości dojść: przez propagandę, w drodze pozyskiwania sobie stronników za pomocą konkretnych dowodów łaski, wreszcie całkiem bez ogródek — za pośrednictwem pieniądza, to znaczy w drodze przekupstwa. To wszystko nie wystarczy jednak — w swej pasji prowokowania, która go charakteryzuje, w roli fanfaronu niemoralności, zaleca ponadto, by wszystko to było dokonywane „szczodrze, prędko i zrećnie”.

Można się na tym zatrzymywać dla wysunięcia własnej tezy. Jest rzeczą jak najbardziej oczywistą, że nic nie mogło bardziej skutecznie oddalić „republikańskiej” szlachty od myśli porzucenia zasady jednomyślności, jak powyższe wywody, które przyczyniać się mogły jedynie właśnie do umocnienia uprzedzeń wobec rządów większościowych, jako służący z natury rzeczy do wprowadzenia „absolutum dominium”. Dodajmy, że wywody te pochodziły od człowieka, który dwukrotnie skompromitował się ponad miarę przyzwoitości popierając kandydaturę — właśnie słusznie podejrzaną — Habsburgów, który propagował niebezpieczną politykę zerwania z Turcją, który w tymże roku ogłosił pochwałę Filipa II hiszpańskiego i uchybił pamięci Zygmunta Augusta. Nic więc dziwnego, że szlachta polska pozostała głucha na zalecenia tego niepopularnego głosiciela rządów silnej ręki. Warszewicki swoją lekkomyślnością, bezczelnością oddał tylko niedźwiedzią przysługę sobie samemu, względnie własnym poglądom, których usiłował bronić nie tylko z potrzeby własnego temperamentu, lecz także i z tej racji, że — jak świadczy o tym chronologia ukazywania się jego pism¹², włączył się on niejako jak harcownik, do ofensywy którą przeciw nowym, ale już zagrożonym zdobyczom izby poselskiej prowadzili neomacchiaveliści i jezuici, działający w Polsce wspólnie — aczkolwiek opartym na sprzecznych założeniach filozoficznych. Opozycja ta korzystała zaś z tak potężnego poparcia oraz tak znacznych środków, że stronnicy jej sądzili, iż znajdują się już w przededniu rychłego zwycięstwa.

A przecież wprowadzenie systemu większościowego nie miało w Polsce żadnej szansy. Niemniej wywody Warszewickiego można uznać za typowe. Wystarczy przyrzeć się bez uprzedzeń okolicznościom politycznym, w których w czasach na wiele przed ukazaniem się książki Konarskiego i panowaniem Stanisława Augusta, proponowano prowadzenie tego systemu, by nabrać przekonania, że osoby które występo-

¹² Warszewicki zadał sobie trud przetłumaczenia z hiszpańskiego i wydania po łacinie w Krakowie w 1595 r. wraz z własnymi czternastu Turcicami, dzieła Furiusa Cerioli, *Del Consejo y Consejeros des Principe*. — W 1597 r., a zatem w roku wydania *Kazań Sejmowych* Skargi wydobyto spod 25-letniego kurzu polską adaptację tego samego autora pod tytułem *Rada Pańska* przygotowaną przez Jakuba Górskiego (zmarłego przed 12 laty). Chodziło tu o nader pochlebiony obraz biurokratycznej hiszpańskiej administracji monarchicznej w Królestwie Obojga Sycylii.

wały z podobną inicjatywą i okoliczności w których działały — musiały wywołać słuszne podejrzenia. Przyznajemy wprawdzie chętnie, że w podejrzliwości tej — ze względu na jej jednostronność — tkwiło coś niezdrowego.

Z innym zupełnie stanowiskiem spotykamy się u Jakuba Zawiszy z Kroczoła. Aczkolwiek jego fascynujące dzieło *Wskrócenie prawnego procesu koronnego* (1613)¹³ dedykowane jest Zygmuntowi III, głębokie jego przywiązanie do wolności politycznych i do systemu przedstawicielskiego nie może budzić żadnej wątpliwości. Już na pierwszych kartach swej książki przedstawia istotne różnice między prawami bożymi, prawami wydanymi przez królów lub tyranów, prawami wprowadzonymi przez kolegia optymatów i wreszcie, prawami uchwalonymi *ex consensu omnium* — *jako teraz u nas* (s. 13) — i to w wywodzie, który dzięki dalekowzrocznym ujęciom na temat na przykład republiki rzymskiej lub republiki weneckiej, zasługiwałby w pełni na figurowanie w każdej antologii dawnej europejskiej myśli politycznej. Autor odkrywa też niedwuznacznie swe karty podnosząc, że ostatni z wymienionych systemów jest najlepszy¹⁴, ale również i najtrudniejszy, jako że o *trudności stanowienia praw takowych każdy powiedzieć może* (s. 15). Wysuwając tu też argument najlepiej uzasadniający zasadę jednomyślności: prawowitość jedynie tych właśnie praw nie podlega dyskusji, jako że ustanowione one zostały za wolną wolą wszystkich, którzy widocznie uważali je za „zdrowe” dla siebie (s. 15). W republice zbudowanej na takich założeniach położenie każdego obywatela może się równać z położeniem suwerennego księcia, a w rzeczywistości to ma on i nad nim przewagę w zakresie niezawisłości (s. 16 - 17). W zapale wreszcie entuzjazmu, z jakim nierzadko spotkać się można u pisarzy staropolskich przy opisywaniu swojego ustroju politycznego, Zawisza posuwa się aż do zawołania: *Wizerunek tu jest i kształt własny niebieskich radości* (s. 16).

Wielkie znaczenie dziełka Jakuba Zawiszy polega na tym, że nie ogranicza się on do oświadczenia własnej wygórowanej sympatii dla polskiego ustroju. Jest on obywatelem, którego przywiązanie do wolności politycznych wyraża się również w czynie. Świadczą o tym jego na ogół nadzwyczaj rozumne zalecenia, mające prowadzić do sprawnego funkcjonowania tych wolności; wszystko to przy zachowaniu zmysłu krytycznego, surowej oceny rzeczywistego stanu rzeczy i wskazywaniu na ponoszących zań odpowiedzialność. Na 50 stronach tekstu zawarte są wnikliwe obserwacje na temat organizacji obrony narodowej, na temat sądownictwa wojskowego — nie licząc całego sądownictwa zwyczajnego (na które tylko zdaje się wskazywać zbyt skromny tytuł pracy), dalej

¹³ Cytuję według edycji A. Winiarza, „Biblioteka Pisarzy Polskich”, nr 36, Kraków 1899.

¹⁴ Wydaje się, że Konopczyński mógł z pożytkiem rozważyć to zdanie.

na temat stale pozostającej w zawieszeniu *compositio inter status* czy też na tematy skarbowe, gdzie proponuje wprowadzenie podatków w postaci 1/70 od eksportu — *nemine excepo*.

Zastanawia nas szczególnie to, że rozpoznał on trafnie jedną z przyczyn technicznych, które prowadziły do niedostatecznej kontroli, jaką sejm usiłował rozciągnąć nad sprawami państwowymi: *bo któżby tego nie przyznał, żeby Sejmowi nie sześć niedziel we dwie lecie, nie kilkanaście niedziel w roku trybunału, ale ustawicznie potrzeba* (s. 28). Z podobną też przenikliwością odkrywa rację, dla których krzykacze sejmuwi zdobywając sobie posłuch u poważnej części obywateli, występowali przeciw owej zbawiennej reformie: *nie tak barzo potrzeb uważano jako kosztowi folgowano* (s. 28).

Poważniejsze jeszcze znaczenie ma inna strona argumentacji Zawiszy. Pisząc w niedługim czasie po rokoszu Zebrzydowskiego, rozumiał on, że opozycja „republikańska”, mimo klęski poniesionej na polu bitwy, ocaliła przecież parlament — lecz parlament ten odtąd wyjałowiał. Omawiając niegdyś przez szlachtę nabyte prawa, pisze, że *już jeno cień tej ozdoby zostawa*. Diagnoza jest zadziwiająco trafna: zachowano formę, ale zagubiono treść, którą wypaczają i zacierają nadmiernie wysokie środki ekonomiczne i społeczne, którymi dysponuje arystokracja i duchowieństwo¹⁵. Zawisza winą obciąża przede wszystkim możnowładztwo. Jakże bowiem Sejm może należycie funkcjonować, jeżeli magnat *na prywatę jaką udawszy się* jest w stanie pociągnąć za sobą połowę izby poselskiej i przeprowadzić w postaci prawa uchwałę, która nie tylko, że nie jest potrzebna, ale jest wręcz szkodliwa (s. 17–18).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że ta właśnie obserwacja skłoniła Zawiszę do kategorycznego wypowiedzenia się przeciw zasadzie jednomyślności *nemine contradicente*. Wierzy on natomiast lub udaje, że zasada ta jest słuszna w odniesieniu do całych stanów Rzeczypospolitej (król, senat, izba poselska), gdyż wyraża ona to, że żaden stan nie może niczego postanowić bez zgody pozostałych stanów. Zasada ta odnosi się więc do stanów jako całości, a nie do poszczególnych posłów w obrębie izby poselskiej.

Tak więc sądzi, podobnie jak to później wyrazi Konarski, że przyznane dla mniejszości w izbie prawo sprzeciwiania się decyzji, której nie chce ona zaaprobować, stanowi później dopiero praktykowane nadużycie. Z punktu widzenia historii instytucji nie jest to prawdą, jednak przewidywania Zawiszy na temat sposobu stosowania zasady jednomyślności w przyszłości są trafne. To czego załączki dostrzegł już, a co uległo urzeczywistnieniu po 1652 r. i 1688 r. — było nadużywaniem domnie-

¹⁵ Zauważmy, że Zawisza był gorliwym katolikiem. Nigdy nie można dostatecznie podkreślić tego, że wśród szlachty w dawnej Polsce bardzo częstym zjawiskiem było łączenie gorącej wiary z antyklerykalizmem w ścisłym tego słowa znaczeniu.

manego uprawnienia, było jaskrawym pogwałceniem pod płaszczykiem formalnej poprawności tego, co stanowiło prawa tego istotę.

Gdyby owa „nowa” koncepcja klauzuli *nemine contradicente* miała się utrwalić, jak pisze, *śmiechowiskiem ta regułą nie strażą jaką warowną, mądrym ludziom choćby musiała* (s. 40), *mielibyśmy ginąć i dalej, na zaginięcie już swe patrzeć* (s. 41). Sposób stosowania tego nadużycia w przyszłości ocenia już w kategoriach Konarskiego — tyle, że nie pisze o mieszanii się do spraw polskiego sejmu dworów zagranicznych. Jakiegokolwiek *panię* któremu odmówi się udzielenia przez państwo jakiegoś większego dochodu lub godności, jaką sprawował jego ojciec *ona świnią głupia postanowi wyrzucić zemstę na Rzeczypospolitej, gotowa jest udać się na sejmik, dać się wybrać posłem, a następnie zerwać Sejm* (s. 40 - 41). Przebija się tu u Zawiszy już nuta zgorszenia tym, że szkodliwa praktyka staje się powoli przedmiotem *tabu*; *poprawuję innych rzeczy a tak szkodliwych czemużby poprawić nie mieli?* (s. 41). Lecz przed powyższym wywodem wskazał na przykład, zdaniem jego szczególnie nierozumianej pobłażliwości w stosunku do mniejszości: *wymuszona została na królu katolickim, na Rzeczypospolitej katolickiej, na milionach katolików tolerancja na korzyść kilku dziesiątków, stu, niewielu tysięcy ludzi sektami zarażonych*. Zawisza uważa ją za szkodliwą i zgubną (s. 18). Jak więc widać, owocem pierwszego zastosowania zasady większościowej — w oczach jednego z najwybitniejszych jej obrońców — miało być zniesienie zasady *liberum credo*.

Świadectwo Zawiszy zasługuje na kilka refleksji. Możemy mu być wdzięczni za to, że tak wcześniej przewidział przyczyny, które miały doprowadzić do zepsucia się staropolskiego parlamentaryzmu; że pokazał nam rozmiary straty, w razie odejścia od tego typu dyskusji, jakiego wymagała i który zaszczepiła w Polsce zasada jednomyślności w okresie jego sprawnego stosowania. Można by może zarzucić, że przecież i tak tolerancja uległa z czasem osłabieniu — i to w znacznej mierze wtedy właśnie, kiedy zapanowało *liberum veto*. Ktokolwiek zastanowi się poważnie nad poruszonym w niniejszym artykule problemem, na tle ogólnego rozwoju myśli politycznej, ten zauważy, że fakty powstałe w drodze późniejszej praktyki nie umniejszają w niczym słuszności naszych uwag nad poglądami Zawiszy. Możemy tu co najwyżej jeszcze dodać, że nawet w tym, co wydaje się nam odrażające, Zawisza daje pośrednio dowód swej przenikliwości: subtelna technika obrad, jakich wymagał system jednomyślności, nie mogła nie ulec skazaniu w czasie, w którym tolerancja zaczęła wygasać w umysłach i w sercach.

Przechodzimy zatem do konkluzji. Kiedy napotykamy w historii na zjawiska takie jak polska myśl polityczna XVI w., albo jak egzekucja dóbr, ta tak niezwykle trudna reforma (wśród wielu innych reform!), doprowadzona do skutku z uporem i zręcznością a ponadto wykonana z umiarem, na jaki nie sądzę by umiało się zdobyć jakiegokolwiek zgro-

madzenie w ówczesnej Europie — wtedy, jak sądzę, szukanie wyjaśnienia podobnych zjawisk w prymitywizmie polskich stosunków, byłoby całkowicie chybione.

Nie znaczy to jednak byśmy mieli bezkrytycznie spoglądać na obraz Polski w XVI w. Proponowałbym tu wyznaczenie pewnej linii demarkacyjnej. Kiedy widzimy, w jaki sposób szlachta we wspaniałych wypowiedziach powołuje się na argument cnót osobistych (*virtus* w sensie *virtu*, *ingenium*, dowcip, dzielność) dla uzasadnienia swego wywyższenia wobec dwóch od średniowiecza istniejących arystokracji, a z drugiej strony nie zna tego argumentu w odniesieniu do nieszlachty; kiedy widzimy jak z jednej strony szlachcic zazdrośnie broni w sejmie swych wolności przed jakimkolwiek ich naruszeniem rzeczywistym lub domniemanym, a z drugiej władzę jaką sam sprawuje w swej wiosce uważa za normalną — wtedy mamy do czynienia nie tylko ze „sprzecznością” w sensie współcześnie temu słowu przyznanemu, ale z istotną niekonsekwencją dyktowaną przez przesąd i koncepcję wadliwie uproszczoną i koniec końców wcale własnym interesom szlachty nie służącą.

Reguła jednomyślności wcale nie jest tego pokroju. Pojawiła się najpierw jako środek opozycji w tym czasie, kiedy szlachta wyżywała się w programie rewindykacyjnym; w dobie wielkich sejmów stała się podstawą wyszukanej procedury mającej prowadzić do ujawniania się „woli ogółu”. Wśród wszystkich zaś technik prowadzenia obrad i podejmowania decyzji, jakie wówczas wypracowano, uderza mnie tutaj nadzwyczajna konsekwencja w działaniu. Ciekawa instytucja jednomyślności sprzyjała wywoływaniu autentycznego dialogu, kształcenia się zdolności do zdrowego kompromisu, ujawnianiu się wielu różnych punktów widzenia. Bez niej „złoty wiek” kultury polskiej nie byłby na pewno tym, czym się stał w istocie. Dlatego nie zasługuje na to, by traktować ją wyłącznie z ironią czy z pogardą.

